

O cyganach i katastrofistach (2)

„Na progu sumienia”

Kiedy po dziesięcioletniej przerwie zaczęto w kraju pisać o Czechowiczu skazanym na przemilczenie w okresie „błędów i wypaczeń”, starano się podkreślać akcenty społeczne w jego liryce. Było ich bardzo niewiele, ale były. Głównie w latach młodzieńczych. Więc w artykułach i antologiach wysuwano na pierwszy plan takie nieliczne utwory, jak „Ja karabin”:

*Tylko taki czas odmienny chciałbym poznać,
w którym ludu karabinem będę z wiosną.*

Za to pomija się inne, dojrzałe już wiersze, w których poeta wyraźnie dawał do zrozumienia że lewicowe ciagoty wczesnego czasu uległy odwołaniu. Ten i ów usiłował powoływać się na wiersz „Pod Dworcem Głównym w Warszawie” na owe - „mówię wam, przez nie runą mocne twierdze Jerycha...” - z ostatniego tomu „Nuta człowiecza”. Ale w tym samym zbiorze znajdziemy fragmenty, wielce żenujące dla marksistowskiego komentatora. Chociażby poetycką aluzję do zajęcia Zaolzia: „rąbek granicy nam wzeszedł” - albo gorzej jeszcze, o kopułach katedry w Mińsku!

To notuję na marginesie. Czechowicz nie tylko uciekał od tematyki społecznej - uważał ją za zabójczą dla poezji. Bardzo przykro odczuł odejście Czuchnowskiego, na którego tak mocno stawiał, ku problematyce społeczno-politycznej. Takich rozczarowań było więcej, ale żadne nie zachwiało postawą poety. Nie mogło być inaczej, gdyż rdzeń jego twórczości - nikt z krytyków tej zasadniczej cechy wciąż jeszcze należycie nie uwydatnił - tkwi w tragicznym niepokoju istnienia, w mrocznych podszeptach metafizyki. Wystarczy wymienić trójkę poetów, których liryka przyciągała go najbardziej: William Blake, Rimbaud, Aleksander Błok. Koneksje te na pewno nie były przypadkowe.

A jak inni z najbliższego sąsiedztwa? W recenzji z „Cyganerii” Mrozowskiego, ogłoszonej w „Kulturze” (październik 1963) przez Tymona Terleckiego, czytamy następującą uwagę: „Z toku wspomnień wynika - i to stanowi jedno z charakterystycznych znamion wspomnianego zjawiska - że ani autor, ani jego współtowarzysze nie mieli ówczesnie „świadomości społecznej” i żadnych zainteresowań politycznych”.

Takby wynikało ze wspomnień Mrozowskiego. Wesołe lumpy istotnie nie miewają świadomości społecznej i politycznych zainteresowań. Ale opinia ta nie może dotyczyć całej grupy. Już w końcu lata dojrzał we mnie pielęgnowany od dawna zamiar założenia miesięcznika literackiego w Lublinie. Tak powstały „Dźwigary”, łączące radykalizm społeczny

z awangardyzmem poetyckim, a mające ponadto ambicje - jakby to określić - unarodowienia czy usamodzielnienia polskiego marksizmu. Słowem, typowe „odchylenie nacjonalistyczne”. „Dźwigary” skończyły się na drugim numerze, ale narobiły sporo hałasu i stały się preludium do ostatecznego zerwania z komunizmem. Założona przy nich „Biblioteka poetycka” wydała trzy tomy: na pierwszy ogień poszedł „Alfabet oczu”, debiut Stanisława Piętaka.

Otóż sam fakt, że mieszkańcy „wspólnego pokoju” wciągnięci zostali w atmosferę tych zamiarów wydawniczych i prac przygotowawczych, ustawia nieco inaczej sprawę ich zainteresowań ideologicznych. Nie były obce Piętaкови, tyle że mgliste, nieskoordynowane, wyległe raczej z instynktu, niż z porządnego przemyślenia. Natomiast Domiński jeszcze w Lublinie starał się z całą świadomością dopracować własnej postawy, od początku zdecydowanie radykalnej. Łagodził ją wpływ Czechowicza, a może bardziej nawet wrodzony niedowierzający stosunek do każdego autorytetu.

W czerwcu, za pośrednictwem Bolesława Piacha poznał Helenę Boguszewską i Jerzego Kornackiego. Piach, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Zandberg, był lubliniakiem, znał znał mnie od kilku lat i śledził z bliska moje peregrynacje literackie i polityczne, od studenckiej „Trybuny” poczynając, poprzez „Kurier lubelski” i „Barykady”, konfiskaty i procesy. Kontakt z autorami „Jadą wozy z cegłą” doprowadził do dalszego zbliżenia, aż wreszcie - częstemu już gościowi na Grochowie II - zaproponowano przystąpienie do grupy „Przedmieście”. Należeli do niej, prócz Boguszewskiej i Kornackiego, Halina Kraheńska, Kazimiera Muszałówna, tenże Bolesław Piach, Degal, Sydor Rey, Władysław

Kowalski i kilku innych, których nazwiska wyleciały mi z pamięci. Byli to wszystko prozaicy, często po prostu reporterzy o pewnym zacięciu beletrystycznym; Boguszewskiej zależało na włączeniu do grupy poety i stąd te umizgi pod moim adresem. Liczne aresztowania, konfiskaty i procesy dały mi odpowiedni rozgłos, ktoś nawet raczył mnie nazwać „bohaterskim tenorem polskiej rewolucji”.

Fala lewicowej radykalizacji szła wtedy przez całą młodą literaturę. Wileńscy żagaryści już dawniej zerwali ze „Słowem” Mackiewicza, wkrótce ich część, z Henrykiem Dembińskim i Stefanem Jędrychowskim na czele, miała przejść na skrajne pozycje i doszłusować do komunizmu; założone w roku 1935 „Po Prostu” było niewątpliwie pismem partyjnym, choć odzegnano się od tego oficjalnie. Ostrożniej, ale w podobnym kierunku szła grupa lwowskich „Sygnałów”. Zaczynało się montowanie „Zjednoczonego Frontu Pisarzy przeciwko faszyzmowi i wojnie”, odpowiednik Frontu Ludowego na terenie literackim. W tym samym mniej więcej czasie wybuchła awantura z Legionem Młodych.

Po moim przyjeździe do Warszawy w końcu kwietnia 1934 roku z miejsca zaproponowano mi współpracę z wspomnianym już tygodnikiem „Państwo Pracy”. Jeden z zasadniczych artykułów ukazał się w tym piśmie właśnie wtedy, pod przydługim tytułem wziętym z mego wiersza „Piłsudski”: „Ale gdzie podziąć się z sercem, gdy czarny wstanie Żyrardów i barykadą kamieni

runie na progu sumienia?”. Propozycja wydała mi się interesująca, chociaż redakcja nie płaciła honorariów. Zgodziłem się i napisałem trzy czy cztery wstępniaki, idące po identycznej linii: rewolucyjne reformy społeczne auspicjami niepodległościowych tradycji Piłsudskiego. „Legion Młodych”, którego rozwojowi ideowemu nadawali ówczesznie ton Zbigniew Zapasiewicz, Wacław Zagórski, Stefan Wędrychowski, szedł całą parą na lewo. Opozycję uprawiali Janusz Laskowski i Stachurski, zanim sami zradykalizowali się z biegiem czasu. Dość szybko skończyło się niewypałem. Seniorzy „Legionu” odmówili dalszego poparcia i wydęty balonik pękł z hukiem. Najbardziej ideowe elementy odeszły - Zapasiewicz wstąpił do PPS - organizacja przetrwała aż do września 1939 roku, ale dawny dynamizm skończył się bezpowrotnie. Rola „Legionu Młodych” na uniwersytetach skurczyła się od tego czasu do minimum. W przełomowym okresie nagle dał znać o sobie Henryk Domański. Wydelegowany przez Komendę Główną do Lublina, wycygnął od Czechowicza listy polecające do kilku seniorów. Ci w dobrej wierze, że Domański przyjeżdża, aby uspokoić bardziej podniecone elementy. Tymczasem ten stanął zdecydowanie po stronie „skrajnych” i doprowadził do rozłamu, przy czym nie obeszło się bez pewnego skandalu.

Czechowicz był rozżalony i długo nie mógł tego „kłapaczowi” wybaczyć. Nie tyle chodziło o lekką kompromitację wobec lubelskich znajomych, co o pierwszy dowód, że mistrz nie panuje całkowicie nad uczniem, że ten w ważnych sprawach potrafi już wziąć na kiel i wyłamać. Na to nie było rady. „Domińszczak” patrzył w poetę nadal jak w tęczę, ale pod innymi względami uniezależnił się zdecydowanie.

Większość młodych poetów, mieszkających w Warszawie, zerkalała na lewo, często bardzo zdecydowanie. Coraz to powstające z wielkim hałasem nowe grupy poetyckie - „Kwadryga”, „Meteor”, „Kadra” itd. - z reguły były mocno radykalne, tym przecież najbardziej w Polsce międzywojnia rozpowszechnionym radykalizmem, który nie miał żadnych podstaw doktrynalnych, ani nawet światopoglądowych. Sentymtalne tendencje utożsamiano z postawą - podobnie rozgorączkowany wyrostek myli ciągoty erotyczne z prawdziwą miłością.

Grupy te szybko rozpadały się: autentyczne talenty wchodziły na własne drogi, pomniejszych nieubłagana selekcja czasu przesuwała ku marginesom. Dzieje „Kwadrygi” były najbardziej może pouczające. Pismo istniało niecałe trzy lata. Wychodziłoby zapewne dłużej, gdyby nie to, że w międzyczasie urwała się nić łącząca członków grupy. Na samym początku wystąpiono w sposób, wyraźnie obliczony na rozgłos; z jednej strony ostre ataki na skamandrytów i „Wiadomości Literackie”, z drugiej - proletariackie manifesty, pod wysiłonym patronatem bardzo niewłaściwie dobranej pary świętych: Karola Marksa i Cypriana Norwida.

Gdy przyjechałem do Warszawy i nawiązywałem pierwsze znajomości, „Kwadryga” była już w całkowitym rozkładzie. Tylko nieliczni pozostali wierni temu, co usiłowano określać jako „postawę proletariacką”. Lucjan Szenwald stał się czołowym publicystą komunistycznego „Lewaru”, Dobrowolski pisywał kiepskie poematy: „Powrót na Powiśle” i „Janosik z Tarchowej”, później wydawał przez jakiś czas „Nową Kwadrygę”, nieudaną próbę zgalwanizowania nieboszczyka. Flukowski, Sebyła, Gałczyński nie mieli już wtedy nic wspólnego z Marksem

i proletariatem. Ninę Rydzewską, niegdyś konfiskowaną za „błuznierstwo”, poznałem w charakterze żony jednego z działaczy klubu „Prometeusz”, politycznego emigranta z Kaukazu, Osetyna Ahmeta beja Barasbi Baytugana.

Przy „Lewarze”, który zaczął ukazywać się, jeśli mnie pamięć nie myli, w 1934, skupili się najskrajniejsi, więc także Szenwald, Leon Pasternak, Juliusz Grot, Stanisław Jerzy Lec, Szemplińska, Wygodzki. Degal... Czy wszyscy należeli do partii? Większość z wymienionych na pewno; Pasternak i Wygodzki mieli już za sobą odsiedziane wyroki, ale z tym bywało rozmaicie. Znany był wypadek Andrzeja Wolicy, postaci wręcz tragicznej; zagarnięty przez policję w czasie jakiejś masówki, w areszcie śledczym zaczął chwalić się rzekomymi wyczynami rewolucyjnymi, znalazł się, oczywiście, donosiciel i Wolica otrzymał dość ciężki wyrok, właściwie za... gadulstwo. Po wyjściu z więzienia własni towarzysze oskarżyli go o trockizm, a później nawet o prowokację. Słaby poeta, zdążył na krótko przed wojną wydać interesującą powieść, „Ulica Ogrodowa”. Zginął w tajemniczych okolicznościach na samym początku okupacji.

Posądzenie o trockizm mogło pociągnąć za sobą skutki wielce nieprzyjemne; między innymi padł jego ofiarą Stefan Gołąb, kiedyś niezłe zapowiadający się liryk. Naturalnie, lista śmiertelnych grzechów przeciw ortodoksji była znacznie obszerniejsza: lewactwo, odchylenie prawicowe, odchylenie nacjonalistyczne, etcetera. Specjalistą od węszenia herezji na terenie literackim stał się Szenwald i, jak się zdaje, wytrwał w tej chwalebnej roli pod okupację sowiecką i później, w armii Berlinga, gdzie dochrapał się jako politruk rangi kapitana. Obok niego robił identyczną karierę Adam Ważyk.

W tym wypadku Czechowicz miał rację: marksizm zjadł świetne talenty Szenwalda i Elżbiety Szemplińskiej. Wystarczy zestawić poemat „Kuchnia mojej matki”, drukowany w „Wiadomościach Literackich”, w roku 1931-ym, z wierszami, które Szenwald ogłaszał w późniejszych latach w „Lewarze”, czy choćby z dłuższym utworem „Scena przy strumieniu” bardzo ambitnie zakrojonym, lecz poronionym i w założeniu i w wykonaniu mimo rozsiane tu i ówdzie piękności.

Szemplińska zapowiadała się wręcz rewelacyjnie. Dwudziestoletnia ledwie dziewczyna pisała śmiało, odkrywcze poezje, przesycone gwałtownym biologizmem, ale w szczęśliwym stopie z bardzo oryginalną wizją życia. Ten „biologizm odrealniony”, czy raczej przeniesiony w inny wymiar, święcił niebyle jakie triumfy w takich młodzieńczych wierszach, jak „Ciało” czy „Nogi sprzątaczkii”. Potem jednak Szemplińska zaczęła ogłaszać utwory, zapewniające, że ma we krwi „klasową świadomość”, i wszystko rozlało się. Świetna zapowiedź nigdy nie została spełniona.

Nie był na pewno komunistą Edward Szymański, bardzo ciekawy człowiek, zupełnie nie dbający o swoją twórczość poetycką. Jego także należałoby uznać za zmarnowany talent, nie tylko dlatego, że zginął przedwcześnie w Oświęcimiu. Krępy, bardzo szeroki w ramionach o mocnym uścisku dłoni i kanciastych ruchach robociarza, Szymański miał ogromną łatwość pisania i mało czasu, wiecznie pochłoniętego przez pracę zarobkową i społeczną. Przykro powiedzieć - nie zostawił po sobie książek na miarę swego talentu. Był wybitnym poetą in potentia. Antologia

Matuszewskiego i Pollaka skrzywdziła go, ukazując od strony łatwych wierszy plakatowych, pisanych od ręki, nieraz od razu w drukarni, na czekającej maszynie. Raczej należałoby zamieścić nieliczne wiersze, powstające bez doraźnej tendencji publicystycznej. Szymański był bodajże jedynym poetą, z którym Konstant Gałczyński zaprzyjaźnił się naprawdę i, co więcej, czuł się wobec niego zażenowany.

To chyba w „Drodze” ukazał się krótki wiersz Gałczyńskiego - „Do Edwarda Szymańskiego”.

*W twoje gospodarstwo, gdzie trzeba chleb za wiersze kupować
(że to najbardziej złoty chleb, wyznasz otwarcie),
prosto z gospody z latarniami i kwiatami prowadź,
Edwardzie.*

*Oto twój dom. W ciszy serca Lukrecjusza tłumaczysz.
Jeszcze będziesz bardzo, bardzo sławny - zobaczysz.
Tobie trud, ale tobie miłowanie jedynej i palma.*

*Niech się święci twój przekład „De natura rerum”
i twoja córka, czarna morwa z zapachem ajeru
i Pani twoja - Venus Alma.*

Na tę czułą epistołę Szymański odpowiedział gwałtowną repliką, której tekstu, niestety, nie pamiętam. W każdym razie gromił Konstantego Ildefonsa za jego nieodpowiedzialne lirycznie i zapowiadał groźnie przyszłą katastrofę twórczą w zetknięciu się z siłami historii. „Oślepniesz! Ogłuchniesz!” - powtarzało się przy końcu każdej strofy. Powojenne peregrynacje Gałczyńskiego, które jaskrawo wykazały słabość poety i jego bezbronność ideową, potwierdziły w pewnym sensie bezlitosną ocenę Szymańskiego.

Z jeszcze bardziej gwałtownym wierszem wystąpił on przeciw Światopełkowi Karpińskiemu. Jeśli pamięć mi dopisuje, było to w roku 1938. Karpiński pisał wówczas, później luksusowo wydany „Poemat o Warszawie”, na zamówienie prezydenta miasta, Starzyńskiego, i fragment, poświęcony Woli wydrukował w „Robotniku”. Ujął temat bardzo sielankowo, mało realistycznie i bez śladu jakichś zainteresowań społecznych. Szymański wpadł w pasję i wybuchnął gwałtowną diatrybą, wydrukowaną również w „Robotniku”:

*Przyjechało toto tramwajem
i taniutko, za groszy dwadzieścia,
popatrzyło, gdzie tramwaj staje,
by opisać piękno przedmieścia...*

Karpiński chodził mocno zakłopotany. „Czegóż chcecie? - powiadał nagabującym go przyjaciółom. - Wiersz jest doskonały i można by na niego odpowiedzieć tylko wierszem. Ale

jeszcze lepszym, lub przynajmniej równie dobrym”.

Jednak Duch Święty tchnie gdzie chce. Ten sam Karpiński, pozornie pięknoduch i bawidamek, salonowy, estetyzujący poeta, doskonale czujący się w otoczeniu takich cynicznych mięczaków, jak Janusz Minkiewicz, kalamburzysta i mieszczański dowcipniś, stały bywalec eleganckich lokali oświadczały prowokacyjnie: „Nie rozumiem jak można żyć bez stu złotych dziennie...” - jest jednak autorem wiersza może najlepiej wyrażającego dławiącą atmosferę tamtych lat:

*A nam jest duszno w jaśminach. Czarno idziemy zgarbieni.
Nie czas już zrywać z wieczorów gałęzie kwitnących gwiazd.
Nie można chodzić po niebie. Nie umie się chodzić po ziemi.
Patrz, jak ciężko ojczyzna oddycha piersiami miast.*

*Przetnij tę ciszę piaszczystą, poezjo ostra i wieszczą,
śpiewałaś wielkość tej ziemi, teraz jej małość zlicz.
Otwórzcie okna i oczy: „Powietrza! Powietrza! Powietrza!
K r z y c z !*

Ale to były chwile wyjątkowe. Popularny Świątek powracał do dalekich, satyrycznych wierszyków, do „Szopki Warszawskiej”, do Simona i Steckiego, zapraszał wesółych koleżków do swego mieszkania, przy czym stara niańka Jadwiga, wciąż widząca w swym wychowanku psotnego chłopczyka, burczała nieodmiennie na widok każdej nowej twarzy: „Znowu jakiegoś pijaka i darmożjada przyprowadził...”. O wspólny język z Karpińskim było trudno. Myśmy tworzyli cyganerię - z przeproszeniem! - proletariacką, z trudem i wysiłkiem przebijającą się przez życie; autor „Giocondy” należał do cyganerii burżuazyjnej, zawsze rozporządzającej pieniędzmi.

Kontakty z innymi ośrodkami lewicowymi były raczej luźne i dorywcze. Mało kto spoza Warszawy zakotwiczył na stołecznym bruku na stałe. Nie pamiętam czy kiedykolwiek po „Najeździe Awangardy” w roku 1934, zawitał Marian Czuchnowski, którego za to spotkałem kilkakrotnie w Lublinie. Czuchnowski zaczął radykalizować na ostro właśnie wtedy, gdy ja przestawałem. Poemat „Powódź i śmierć”, skonfiskowany częściowo przez cenzurę zbiegł się w czasie z moim artykułem „Uzurpatorzy wolności”, który przypieczętował ostateczne rozstanie się ze skrajną lewicą. Nie popsuło to jednak naszych stosunków osobistych, a tylko je rozluźniło. Czuchnowski zawadzał o Lublin w związku z wypadami na wieś krasnostawską i zamojską, na wiece organizowane przez ludowców. Zarabiał na tych wiecach na nowe procesy, więc musiał przyjeżdżać znowu, zawsze, jeśli to zdarzało się w zimie, w chłopskich butach, szlagońskiej (niemal sławuckiej) burce i okrągłej futrzanej czapeczce, dość przypominającej papachy Kozaków kubańskich. W takim oryginalnym przyobleczeniu ściągał na siebie uwagę i ułatwiał robotę tajniaków i łapsów.

Bronił go niezastąpiony Kundzio Bielski, niegdyś poeta z „Reflektora”, a ówczesnie adwokat, osiadły od kilku już lat Krasnymstawie. Przedtem tenże Bielski występował wielokrotnie na moich

sprawach wynikłych z licznych konfiskat, Na ogół miał szczęśliwą rękę i w ostatecznym wyniku nawet najcięższe sprawy kończyły się nieźle.

Przez jakiś czas kontaktowałem się dość blisko z Adamem Galisem. Lubliniak, daleki krewny, czy powinowaty Radka-Sobelsona, umiał doskonale godzić swój zakamuflowany komunizm z pracą w „Tygodniku Ilustrowanym”, posadą w radio i poparciem Kadena-Bandrowskiego. Tom wierszy „Bryły” (1933), w którym Galis wróżył zgubę „świata plugawszemu od piekła”, zapowiadał mocną indywidualność poetycką. Skończyło się na zapowiedzi.

Zwarszawizował się całkowicie przybyły ze Lwowa Tadeusz Hollender. Pisywał wówczas nieźle satyry i mocno retoryczne poezje, dużo i przeważnie dobrze przekładał z literatury ukraińskiej. Zamierzona antologia współczesnej liryki ukraińskiej, pt. „Sześćdziesięciu z tej i tamtej strony Zbrucza”, już nie zdążyła ukazać się przed wojną. Hollender był chyba jedynym z młodych pisarzy nie żydowskiego pochodzenia, który stale współpracował z „Naszym Przeglądem”. Noszony na rękach przez liberalne środowisko inteligenckie, zbliżone do tego dziennika, pływał jak pączek w smalcu, a zwłaszcza bardzo sobie chwalił awanse pięknych warszawskich Sulamitek. Mało kto spodziewał się, że niepozorny chudeusz o czerwonych ciągotech wykaże tyle siły charakteru i zachowa się z taką godnością w okupowanym przez Sowiety Lwowie. W czasie wojny poezja jego, po plakatowemu powierzchowna i, jako się rzekło, retoryczna, dojrzała, pogłębiła się i zyskała na dramatycznym oddechu. Kula hitlerowska zabiła go właśnie wtedy, gdy zapowiadał najwięcej.

Komunistą w stosunkowo najłagodniejszym wydaniu był Jan Śpiewak, którego poznałem w Równem, gdy odbywałem służbę wojskową w tamtejszej podchorążówce. Przeniósł się do Warszawy na krótko przed wojną i cierpliwie dorabiał się własnego poetyckiego wyrazu. Nie spieszył się, toteż jego pierwsza książka - miał wtedy lat trzydzieści - przyniosła wiersze dojrzałe, pozbawione potknięć typowych dla najzdolniejszych nawet debiutantów. „Wiersze stepowe” prawie nie miały akcentów społecznych, Śpiewak nie wypowiadał się też na tematy polityczne i jako krytyk literacki chętnie współpracował z prasą pravicową, np. z zachowawczym „Czasem”. Wiare w marksizm, dość żarliwą, zachował na czysto prywatny użytek.

I on wciągnął się, jak tylu innych w „krąg czechowiczowski”, zresztą o wiele luźniej niż przedtem mieszkańcy „wspólnego pokoju”. Gdy zacząłem prowadzić z Czechowiczem i jego grupą wspomnianą powyżej wojnę podjazdową (głównie w „Myśli Polskiej” a także w „Kurierze Porannym”), Śpiewak informował mnie co się dzieje na Narbutta i jakie są reakcje zaatakowanych.

To właśnie przez niego poznałem w jesieni 1933 uczennicę rówieńskiego gimnazjum, szesnastoletnią ówczesznie Zuzannę Ginczanę, której sądzone było zginąć osiem lat później z hitlerowskiej ręki. Sana - w Warszawie chętniej nazywano ją Giną - nie miała jednak żadnego powołania na Amazonkę rewolucji i nie poszła śladem Elżbiety Szemplińskiej, czy Henryki Łazowertówny, mimo, że z racji nawiązania współpracy ze „Szpilkami” nie brakowało lewicowych powiązań i znajomości. Ale Zuzanna zasługuje aby o niej napisać szerzej i osobno.

Młoda lewica nie wydała żadnego polskiego Majakowskiego ani Bertolda Brechta. Broniewski nie miał powodu obawiać się zwycięskiego rywala, który nie przychodził. Nie spełniły się nadzieje pokładane w czołowych żagarystach, również wyłamało po drodze kilku innych. O Szenwaldzie i Szemplińskiej już była mowa. Im bardziej konsekwentnie szli na lewo, tym większemu „zamąceniu ulegało źródło ich liryki. Okazywało się po raz nie wiadomo który, że marksizm i poezja stanowią stadło zdecydowanie niedobre.

Nurt radykalny dawał najpiękniejsze wyniki wtedy, gdy ograniczał się do humanistycznego protestu, bez doktrynalnych uzasadnień. Stąd niezaprzeczone pierwszeństwo Broniewskiego, który swoją popularność i wpływ zawdzięczał szczęśliwemu stopowi haseł społeczno-rewolucyjnych z odnowioną i unowocześnioną tradycją niepodległościowo-romantyczną. Słynne - „a umarłych w wieczności rozpostrzyj, jak chorągwie podarte na wicherze!” - łączyło się bezpośrednio z najszlachetniejszym patosem romantyków i to on zaważył mocniej, niż konkretne postulaty walki. Ci, którzy, jak lewicowa awangarda krakowska z Ignacym Fikiem na czele, zechcą do poezji rewolucyjnej wprowadzić „rachunek i sylogizm” i odczarować uczuciowe mgiełki, nie wyjdą poza formalnie ciekawe, ale w gruncie rzeczy dość jałowe eksperymenty. „Kocham nowy plan świata” - te słowa mogły trafić do przekonania, ale miłości w sercach na pewno nie budziły. Bo tak już zawsze było i jest, że wiersze społeczne, aby stać się poezją, muszą, przekraczając „próg sumienia”, uderzyć o niego zgiętym kolanem. W dwudziestoleciu udawało się to jedynie niewielu.

(D. c. n.)